DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 15.] SOBOTA 18. WRZEŚNIA 1909. [Rocznie.....10 K (4 Rb., 8 Mk.) [Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.)

Klub posłów polskich z Rusi Czerwonej*).

Sprawę ruską powinno się załatwiać w Sejmie. Jest to jedna z zasad naczelnych naszej polityki narodowej w zaborze austryackim. Uznaje się ją jednomyślnie i niema polityka, niema obywatela, któryby nie żywił przekonania, że tylko na gruncie krajowym, tylko bez interwencyi wiedeńskiej, można załatwiać zagadnienia związane ze sprawą ruską w sposób zdrowy i z nadzieją powolnego uspokojenia. W rzeczywistości jednak zasady tej nie przestrzega się niemal zupełnie.

Gdzie bowiem, na prawdę, rozstrzygają się najczęściej, a bodaj zawsze, nowe zamysły i nowe zarządzenia w sprawie ruskiej? W Wiedniu, w gabinetach rządu centralnego, który od czasu do czasu, pod wpływem ustawicznych nacisków ze strony posłów ruskich, pod wpływem ich gróźb, zapowiadających czyto obstrukcyę w parlamencie czyto terror w kraju, wchodzi w układy i czyni ustępstwa kosztem własności polskiej. W wypadkach, podlegających kompetencyi czynników centralnych, rząd działa na własną rękę, bądźto rozporządzeniami ministeryalnemi, jak n. p. niedawno w sprawach sądowych, bądźto dotacyami w projektach budżetowych, przyczem stara się złamać lub obejść opór polskiej reprezentacyi parlamentarnej, bądźto instrukcyami ustnemi lub pisemnemi wydawanemi władzom krajowym, które znowuż przesyłają je starostwom lub sądom, polecając patrzeć przez palce na to lub na owo, n. p. na organizacye siczowe lub na język protokołów sądowych, bądźto wreszcie naciskiem n. p. ze strony ministerstwa oświaty na władze uniwersyteckie, celem zmuszenia ich do zarządzeń językowych lub do proponowania katedr ruskich. A nawet w wypadkach najzupełniej wyłączonych z pod kompetencyi centralnej, w sprawach czysto sejmowych, jak n. p. tworzenie nowych gimnazyów lub wybór członków Wydziału krajowego, rząd objawiając swe życzenia zwierzchnikom władz w kraju i osiągając porozumienie z nimi, wywiera za ich pośrednictwem wpływ, zwykle decydujący, nawet na ciało sejmowe. Tak się dzieje, nie inaczej, i nikt miłujący prawdę i pamiętający bodaj kilka lat ostatnich temu nie zaprzeczy.

A skąd, w takim stanie rzeczy, wychodzi inicyatywa w sprawie ruskiej, gdzie się rodzą pomysły wysuwania i załatwiania tej lub owej sprawy? Tam, skąd idą postulaty: z ruskich organizacyj politycznych i poselskich. Tę okoliczność rozważyć należy z jak najgłębszem zastanowieniem, bo chodzi tu o coś zupełnie pierwszorzędnego. Rusini mają swój program polityczny na wielką skalę: dążą do podziału kraju i do zawojowywania polskiej ziemi i polskich instytucyj. Mają oni także znakomicie obmyślony plan działania: rozdrobnili sobie ten wielki program na działy i na etapy, na szczegółowe postulaty z wszelkich dziedzin życia. I w każdej chwili, przy każdej sposobności politycznej, wysuwają jako rzeczy najważniejsze i niezbędne jakąś wiązankę żądań, wiedząc że większość będzie odrzucona ale że jedno i drugie będzie spełnione. Ilekroć urzeczywistnia się taki szczegółowy postulat ruski, pozornie drobny a właściwie doniosły, zdają sobie jego twórcy sprawę, że jest to jeden krok naprzód do wielkiego dzieła. Ze strony polskiej obcina się te postulaty, przykrawywa się je to tak to owak, ale nie zabija się w nich ducha, z którego zostały zrodzone, bo nie przeciwstawia się im dzieła własnego lecz tylko modyfikuje się dzieło obce. A ponieważ niema roku, a teraz nawet, rzec można, niema pory roku, którąby Rusinom nie przynosiła coraz to nowych owoców, trzeba sobie jasno uświadomić w umysłach, że w kraju naszym dokonywa się powoli, ale w tętnie przyspieszonem, prawdziwy proces historyczny: odbywa się systematyczny podbój instytucyj polskich przez Rusinów i przygotowuje się podział kraju. Takie bowiem, takie a zgoła nie mniejsze, są skutki tego opłakanego stanu rzeczy, że dzisiaj sprawy ruskie załatwiają się wedle planu ruskiego a nie wedle planu polskiego.

Powiemy szczerze: właściwie nawet nie można się dziwić dzisiejszemu sposobowi załatwiania spraw ruskich, nie można się dziwić, że załatwia je głównie rząd, i że je załatwia na podstawie postulatów i planów ruskich. Boć ostatecznie wszystko się rozwija i wymaga jakiejś pieczy i przecież coś trzeba robić także z tem wszystkiem co dotyczy sprawy ruskiej. Rząd centralny, czując, że ktoś musi się tem

*) Powracamy tu do sprawy, którą poruszyliśmy przed kilku miesiącami (*Rzeczpospolita* nr. 2. z d. 23. stycznia 1909) i która wówczas znalazła odgłos i krytykę w prasie codziennej (*Czas* z d. 1. lutego, *Słowo Polskie* z d. 28, stycznia, *Nowa Reforma* z 29. stycznia, *Gazeta Narodowa* z d. 10. lutego). Obecnie przedstawiamy ją ponownie ze względu na zwołanie sesyi sejmowej. Nie powinna ona bowiem utonąć w naszej przysłowiowej bezwładności i niechęci do czynu. Mamy nadzieję, że głos dopominający się rzeczy słusznej i pożytecznej będzie wysłuchany, a w każdym razie z naszej strony nie umilknie.

zajmować, zagarnia sprawę w swoje ręce, ośmielony tem, że nie widzi ktoby na niej już rękę położył, a kieruje się postulatami ruskimi bo nikt inny nie tworzy jakichś innych planów. Przykro o tem tak otwarcie mówić, ale jest rzeczą nie tylko pewną ale i zrozumiałą, że rząd tak długo będzie puszczał mimo uszu polskie sarkania po szkodzie, jak długo nie będzie widział, że jest jakieś polskie ciało polityczne, które stale i planowo zajmuje się sprawą ruską.

Tem ciałem powinien być, z prawa i z obowiązku, Sejm, a raczej, mówiąc ściśle, Polskie Koło Sejmowe, obejmujące wszystkich posłów polskich sejmowych i parlamentarnych.

Dlaczego jednak dzieje się, że chociaż troska o sprawę ruską unosi się nad każdą sesyą sejmową i chociaż najlepsi i najwięksi synowie kraju w tę bodaj sprawę najwięcej włożyli serca i najwięcej myśli, jednak Sejm nie zdołał stworzyć akcyi ciągłej, sprężystej, celem jej załatwiania? Dlaczego?

Po prostu brak organizmowi sejmowemu takiego ciała, któreby miało i chęć i możność ciągłej inicyatywy i ciągłej pracy w sprawie ruskiej.

Tradycye Sejmu naszego, stare już dzisiaj tradycye, wskazują, że w zaraniu swego istnienia, przed laty czterdziestu, miał on poczucie swego obowiązku i stworzył ciało, o jakiem dzisiaj myśleć nie można, które jednak mogło przynajmniej wydawać się dobrem w warunkach z przed lat czterdziestu. Była to t. zw. Komisya międzyszczepowa, złożona z posłów polskich: Jerzego Czartoryskiego, Czerkawskiego, Kraińskiego, Adama Potockiego, Smarzewskiego i posłów ruskich: Ławrowskiego, Kowalskiego, Naumowicza, Pawlikowa, komisya nad której powstaniem przeszło już dokładnie całe czterdziestolecie, gdyż wybrał ją Sejm w październiku r. 1869. Dzieło to, jak wszystkie próby ugodowe u nas, spaczone tem, że stają się terenem nie pracy lecz targów, wymuszeń i wiarołomstw, nie spełniło zadania. Ale jest ono przynajmniej dowodem, że Sejm chciał zabrać się do sprawy.

Dzisiaj, rzecz jasna, mówić można jedynie o stworzeniu organizacyi wyłącznie polskiej, gdyż trzeba aby opierała sie ona na wspólnych dążeniach do zgody, sprawiedliwości i jedności kraju, które mają wszyscy posłowie polscy, podczas gdy dążenia posłów ruskich są wręcz odmienne, bo skierowane na walkę, zabór i podział kraju.

Kto jednak dzisiaj w Sejmie może podjąć inicyatywę i spełniać pracę w sprawie ruskiej?

Nie całe Koło Sejmowe, które daje tylko naczelne dyrektywy ale nie może brać na się ciągłej pracy. — Nie poszczególne stronnictwa polityczne, których wzajemne stosunki tak się zazwyczaj układają, że brak im autorytetu do podejmowania przed pełnym Sejmem akcyi ogólno-narodowej: wnet zjawiają się podejrzenia, że w grę wchodzi czy to znany szowinizm tego stronnictwa, czy też znane interesy klasowe tamtego, a chociaż będą to często zarzuty najzupełniej niesłuszne, one to właśnie wytwarzają zwykle w Sejmie te oporne nastroje, w których się grzebie wszelkie inicyatywy. — Nie poszczególni posłowie wreszcie, gdyż wystarczy ich tanio posądzać o lokalne ocenianie sprawy ruskiej zapatrzeniem się na popa w Iwanówce lub dyaka w Borejkówce, by do ich wystąpień odnosić się z lekceważeniem. — Zresztą, przy najlepszej nawet woli pełnego Sejmu, skuteczne podjęcie załatwiania sprawy ruskiej przerasta siły poszczególnych stronnictw lub poszczególnych posłów.

Potrzeba w Sejmie jakiegoś ciała nowego, któreby wzięło na się to doniosłe zadanie.

Klub sejmowych i parlamentarnych posłów polskich z Rusi Czerwonej, łączący ich do pracy nad sprawą ruską bez względu na to, do jakich stronnictw należą w Sejmie i w kraju, byłby ciałem najodpowiedniejszem.

Taki skład zapewniałby temu ciału niezbędny rozmach i żywotność. Zważmy bowiem jak się rzeczy realnie przedstawiają. Posłowie z zachodniej części kraju mogą wprawdzie garnąć się do pracy nad sprawą ruską, ale nie muszą, i w rzeczy samej przeważna część tych posłów, nie żyjąc w stosunkach polsko-ruskich i nie znając ich dokładnie, a czasem nie znając ich zupełnie po za mowami sejmowemi i skąpemi wiadomościami z prasy i to tylko polskiej, nie może i nie chce podejmować inicyatywy ustawodawczej w tym kierunku. Natomiast posłowie polscy z Rusi Czerwonej żyją, rzec można, w tej sprawie ruskiej, codziennie mają z nią do czynienia w swych zajęciach i spostrzeżeniach branych z żywa, znają ją i czują jej wagę i wiedząc że nie wolno im uchylać się od tej pracy, niewątpliwie wszyscy w głębi duszy oddawna czekają, by powstał teren, na którymby mogli działać nie dorywczo i nie bezowocnie. Ale rzecz jasna, że wszyscy posłowie z zachodniej części kraju mogliby brać udział w pracach klubu jako goście lub członkowie nadzwyczajni.

Zadaniem klubu byłaby systematyczna praca nad sprawą ruską: opracowywanie projektów ustawodawczych zmierzających do jej załatwienia, rozpatrywanie wszelkich uchwalonych ustaw z punktu widzenia sprawy ruskiej, stałe zajmowanie się bieżącemi potrzebami polskiej i ruskiej ludności we wschodniej części kraju, ciągła uwaga na bieżącą politykę w sprawie ruskiej. Rozejrzyjmy się bowiem realnie, na podstawie przykładów z kadencyi obecnej. Czy nie byłoby dobrze, gdyby w sprawie reformy gminnej pomówili swobodnie posłowie ze wschodu, którzy znają dzisiejsze stosunki, widzą potrzeby, zdają sobie sprawę z tego, jak oddziałają na stosunki polsko-ruskie te różne zmiany, które się obecnie projektuje? Czy nie byłoby dobrze, gdyby w sprawie reformy wyborczej przedstawiono sobie swobodnie polsko-ruską stronę sprawy, mówiąc czy to o katastrze narodowym czy o innych sposobach jej załatwienia, o ich zaletach i niebezpieczeństwach? Czy niema innych spraw, które czas by był omówić, zanim spadną one na kraj w gotowej postaci z gabinetów wiedeńskich?

Aby działać poważnie i owocnie, klub taki musiałby sobie zapewnić możność pracy nie tylko w czasie sesyj sejmowych, czyli nie tylko przez kilka tygodni na rok. Osięgnąć to można łatwo przez ustanowienie stałego Biura klubu, oraz komisyj, które by zbierały się peryodycznie, a w skład tych organów pracy mogliby wchodzić czasem także pracownicy ze sfer obywa-

telskich, nadający się do niej i powołani przez klub.

Stosunek klubu do Koła Sejmowego i do Sejmu nie nastręczałby żadnych trudności ani wątpliwości, gdyż prace jego, mając charakter przygotowawczy, stałyby się dla Sejmu tylko niezbędną podstawą do podejmowania kroków ustawodawczych i dałyby polskiej większości sejmowej rękojmię, że może się zabrać do spraw polsko-ruskich na podstawie rzeczowych i kompetentnych studyów i opinii, tem bardziej, że wszystko, co by wyszło z warsztatu takiego klubu, grupującego w sobie przedstawicieli wszystkich warstw i stronnictw, wolne by było od zarzutu partyjności i klasowości i miałoby charakter potrzeby narodowej.

Czas najwyższy zapobiedz dalszemu załatwianiu sprawy ruskiej wyłącznie na podstawie planu działania ruskiego, urzeczywistniającego się cegiełka po cegiełce. Czas, aby wzięli się do dzieła wszyscy, którzy, miast dotychczasowej bezwładności, z braku odpowiedniej organizacyi, pragną polskiego planu i polskiego czynu w sprawie ruskiej.

Wspomnienie o Tadeuszu Skałkowskim z czasu studyów uniwersyteckich.

Drugiem miejscem zebrań, narad i pogadanek koleżeńskich było mieszkanie Tadeusza Romanowicza przy ulicy Chorążczyzna. — Dyskutowano tu także o kwestyach filozoficznych, a modny wówczas prąd materyalistyczny miał licznych zwolenników, którzy przysięgali na Moleschota i Büchnera. Koło Kociatkiewicza grupowali się idealiści, koło Romanowicza tak zwani materyaliści. — Wytwarzał się pewien antagonizm między oboma przywódcami, nie przekraczał jednak nigdy granic rozumnej i przedmiotowej dyskusyi. Dyskusye te przeniosły się także do „Koła akademickiego“ i nieraz bardzo wiele czasu zajmowały. Tadeusz Skałkowski nie brał w nich prawie nigdy udziału. W tej filozoficznej walce stał na uboczu. Umysł jego jasny, ścisły, praktyczny, szukał i wskazywał realne roboty i po tych robotach oczekiwał realnych skutków.

Nie wdawał się w metafizyczne zagadnienia, czuł jednak i rozumiał, że zapatrywania materyalistyczne narodowi pozbawionemu bytu politycznego tylko szkodę przynieść mogą. — Materyalizm jest negacyą pracy bezinteresownej, ofiarności i poświęcenia. W dalszej konsekwencyi materyalizm wytworzył bezreligijny i beznarodowościowy socyalizm. Jak wielką, niepowetowaną szkodę przyniósł socyalizm sprawie naszej, — o tem chyba nikogo przekonywać nie trzeba. Dzieje ostatnich lat Królestwa i Litwy pouczają nas o tem dostatecznie.

Antagonizmy, starcia wewnętrzne i arcydługie dyskusye filozoficzno-polityczne nie osłabiały jednak działalności „Koła akademickiego“. Koło zawładnąwszy zupełnie umysłami polskiej młodzieży akademickiej — zaczęło wywierać coraz większy wpływ na opinię całego miasta. Z uchwały Koła rozszerzono propagandę narodową także na młodzież rzemieślniczą i handlową. Wieczorami po pracy zbierała się młodzież z warsztatów i handlów po kilku lub kilkunastu w oznaczonych lokalach — a jeden z akademików delegowany przez Koło uczył ją historyi polskiej, kładąc główny nacisk na historyę porozbiorową, na walki toczone o odzyskanie niepodległości. Wykłady takie odbywały się w kilku miejscach, zwykle dwa razy w tygodniu i znachodziły wielu chętnych słuchaczów, — trudniej było o dobrych prelegentów, którzyby wymową i treścią potrafili słuchaczów zainteresować. — Starało się także „Koło akademickie“ o dostarczenie dla tej młodzieży odpowiednich książek do czytania. W tym celu otworzyliśmy na nowo tak zwaną „bibliotekę Darowskich“. —W roku 1860, kiedy życie narodowe w kraju zaczęło się budzić, synowie Mieczysława Darowskiego, byłego oficera wojsk polskich, zebrali między kolegami, przyjaciółmi i znajomymi ojca kilkaset tomów powieści, pamiętników, poezyi i dzieł historycznych — i utworzyli z tego publiczną bezpłatną wypożyczalnię. — Księgozbiorek ten, szumnie nazwany „biblioteką Darowskich“, przez dwa lata, 61 i 62, znakomite oddawał usługi propagandzie narodowej. W roku 1863 książki spakowano do skrzyń — a bibliotekarz i czytelnicy poszli „do lasu“. Dopiero kiedy „Koło akademickie“ rozpoczęło swą działalność, wydobyto książki, skompletowano braki, sprawiono nowe szafy, a całą bibliotekę oddano pod dozór i opiekę Władysławowi Kociatkiewiczowi i instalowano w jego mieszkaniu. Władka obowiązkiem było wyszukać sobie jakiegoś kolegę, który miał codziennie przez godzinę lub dwie zajmować się wypożyczaniem książek i potem zapisywać adresy biorących książki.

Czytelnik, który kilkakrotnie wypożyczone książki nieuszkodzone i w oznaczonym czasie odniósł, przyprowadzał i polecał swego znajomego, i tak dalej a dalej szeregi czytelników coraz bardziej się wzmagały. I dziwna rzecz — książki przechodząc setki rąk darły się i niszczyły — rzadko która zginęła.

Na zebraniach naszych koleżeńskich, w poufnych pogadankach, w rozprawach i naradach „Koła akademickiego“ występowała zawsze tasama kwestya: Co robić? jak działać, aby siły narodu ukrzepić i wzmocnić a dzień odrodzenia przybliżyć i przygotować. Ci co wrócili z pola walki do książki i ci, którzy nie biorąc czynnego w walce udziału byli już na tyle dojrzali, że zdawali sobie sprawę z sytuacyi, — wszyscy czuliśmy, że naród nasz w roku 1863 doznał ciężkiej klęski. Nie winowaliśmy nikogo, bośmy rozumieli, że wszyscy winni, wszyscy błądzili. Obowiązkie wszystkich było jąć się pracy, blizny goić, złe odrobić. — Na jednem ze zebrań rzucił ktoś myśl: „Trzeba nam iść w lud i lud unarodowić“, a Tadeusz Romanowicz trawestując znane bismarkowskie „siła przed prawem“, powiedział: „Hasłem naszem niech będzie siła dla prawa“. Złączyły się te dwie myśli i stanął jasny program naszych robót: Unarodowić lud, aby zyskać siłę dla wywalczenia naszych praw.

Zapewne program ten nie był żadnem nowem odkryciem. Stawiono go po 1831 i po smutnej pamięci roku 1846. — Różnicę stanowi ta okoliczność, że tamte generacye nie mo-

gły czy nie umiały wprowadzić go w czyn, nam zaś, to jest generacyi z roku 1863, udało się to, jeśli nie w całości to przynajmniej częściowo.

Było rzeczą jasną, że do unarodowienia ludu trzeba było mieć w ręku szkolnictwo ludowe i nauczycielstwo. O wpływie na szkolnictwo my studenci nawet marzyć nie mogliśmy. Sejm krajowy w owym czasie prawie żadnego wpływu na organizacyę szkół nie miał. Trzeba było dopiero Sadowy, aby wszechpotężnej biurokracyi wydrzeć szkoły i oddać je w ręce Rady szkolnej krajowej. Z nauczycielstwem rozrzuconem po prowincyi, na ogół bardzo małej wartości moralnej, nie łączyły nas żadne stosunki, a nawiązanie tych stosunków było wprost niemożliwe.

Radziło Koło nad tem jak „iść w lud“, aby tam dojść, — ale droga była i trudna i daleka. Powstawały myśli i projekta czasem naiwne, czasem ekscentryczne, najczęściej niepraktyczne i nie prowadzące do celu. Kolega jeden postawił wniosek, aby studenci uniwersytetu, którzy uznają potrzebę propagandy narodowej między ludem, porzucili studya i objęli posady nauczycieli po wsiach. Wykazywano mu niemożliwość wykonania tej myśli, — ale kolega się upierał i oświadczył, że gotów jest to sam zrobić. — Mimo tego wniosek jego odrzucono jednogłośnie.*)

Po naradach kilkakrotnych zrobiło Koło co mogło i co w mocy jego leżało. Wybrano mianowicie Komisyę powołując do niej: Władysława Kociatkiewicza, Aleksandra Hirschberga Tadeusza Skałkowskiego i Albina Rayskiego; komisyi tej polecono, aby z uczniami preparandy nawiązała stosunki, aby dla tych uczni urządziła wykłady historyi polskiej i historyi powszechnej XIX. wieku, aby starała się zbliżyć uczniów preparandy do młodzieży uniwersyteckiej i tym sposobem podnieść ich poziom umysłowy i towarzyski. — Był to minimalny wynik wielkiego hasła iść w lud, ale początek był zrobiony — a za tym początkiem poszły inne roboty, które wydały lepsze rezultaty.

Dzisiejsza czytająca publiczność może nawet nie wie, co to jest preparanda i uczeń preparandy. Preparanda był to rodzaj seminaryum nauczycielskiego bardzo źle urządzonego i bardzo mało dającego wykształcenia. Kurs trwał dwa lata. Po zdaniu egzaminu kandydat otrzymywał patent i mógł się starać o posadę nauczyciela w szkołach tak zwanych trywialnych. — Posady były tak źle płatne, że niewielu znachodziło się kompetentów. Kto mógł uciekał z tych kursów preparandy! zostawali chyba ludzie wykolejeni, którzy już nic nie mieli do stracenia. — Stosując się jednak do polecenia Koła — dostaliśmy po różnych trudnościach, do tego środowiska przyszłych światłodawców, poznaliśmy się z nimi — i wreszcie udało się nam wyszukać kilkunastu chętnych, którzy zgodzili się chodzić na wykłady historyi polskiej i powszechnej. Historyę polską wykładał Hirschberg, ja historyę powszechną XIX. wieku. Zadanie nasze było bardzo trudne, słuchacze przedstawiali materyał bardzo nierówny. Niektórzy mieli pewien zasób różnych połapanych wiadomości, inni prócz czytania, pisania i rachunków niewiele wiedzieli o Bożym świecie. Czy nauki nasze przyniosły im jaką korzyść, trudno osądzić; czy zdołaliśmy w duszach ich rozbudzić miłość ojczyzny, poczucie obowiązków dla niej — nie wiem. Słuchali cierpliwie i spokojnie wykładu — ale też dość obojętnie. Kiedy raz opowiadałem, jak Czesi słowem i książką budzili uspione, prawie zamarłe życie narodu, — widziałem u niektórych większe zainteresowanie. Z początku zaraz po wykładzie żegnali nas i wychodzili. Później zostawali dłużej, mówili o swych sprawach i troskach, radzili się, dziękowali za udzieloną im naukę i zapewniali o swym patryotyzmie Widocznie zyskiwaliśmy wiarę i zaufanie. Wlokły się te roboty i wykłady dla uczni preparandy przez kilka miesięcy. Ci, którym je poruczono, odczuwali jednak, że rezultat ich prac i zachodów będzie bardzo marny.

(C. d. n.) *Albin Rayski.*

*) Wnioskodawca istotnie myśl swą wykonał, porzucił uniwersyteckie studya i w okolicy Magierowa czy też w samym Magierowie objął posadę nauczyciela ludowego. Wytrwał tam półtora roku. Po upływie tego czasu spotkałem go na uniwersytecie, zapisał się na wydział filozoficzny. Powiedział mi: Nie mogłem wytrzymać, — nie było co jeść, nie było komu mięsa ugotować. Nie miałem towarzystwa, nie miałem książek, — byłbym zdziczał albo się rozpił. Zacząłem już na śniadanie zamiast mleka pić wódkę i zagryzać chlebem. Zląkłem się i powróciłem, będę inaczej narodowi memu służył.

Spekulacya a parcelacya.

(II) Typ ludzi, którzy chcą występować w roli dobrodziejów ludzkości, jest dość powszechny, ale bardzo niebezpieczny. Któż nie zna sympatycznych indywiduów z czarnej giełdy, bodaj z licznych procesów, które dowiodły jak na dłoni, że taki dobrodziej, ratując w krytycznej chwili człowieka, brał za tę pomoc 300% tylko.

Spekulacya parcelacyjna jest mniej wymagającą, ale natomiast bardziej pewną swego.

I oto ta pewność stworzyła cały szereg instytucyi parcelacyjnych, na pół finansowych, napoły pośredniczących, które w bardzo krótkim czasie z dyrektorów różnych banczków parcelacyjnych porobiła kapitalistów lub właścicieli ziemskich.

Urosły one w siłę — z niczego. Kilku ludzi, tak zwanej „dobrej woli“, składa po kilka tysięcy koron, tworzy banczek pod różnymi ponętnymi tytułami, sami obejmują wszystkie urzędy płatnicze oczywiście, czasem w stosunku 100% do włożonego kapitału, i interes gotowy. Nie brak było poważnych instytucyi finansowych — a wiemy, że i Banku krajowego w tej liczbie nie brakło, — które chętnie takim banczkom udzielały kredytu na dobry procent, i ten właśnie kredyt dopomagał niejako do wzmożenia się handlu ziemią. Banki parcelacyjne, bez względu na tytuł i charakter, nie cieszyły się w społeczeństwie poparciem. Poszukiwały zawsze kapitału, który jakby rozmyślnie uciekał od nich. Było to wskazówką, że nie zawsze jeszcze kapitał jest nie wybredny. Żadne patryotyczne nawoływania nie miały wielkiego skutku. Nieraz można było czytać w dziennikach, że na książeczki takich banków obiecywano $6^1/_2$% a nawet więcej za osobistem porozumieniem się.

Ale, że na poły zbankrutowanych właścicieli ziemskich było dużo, a chętnych do nabywania ziemi jeszcze więcej, powoli przeto cały ruch parcelacyjny skupiać się począł w bankach parcelacyjnych. Niektóre z nich jawnie wywiesiły chorągiew, inne ukryły się skromnie w tytułach bardziej lub mniej przeźroczystych, ale cele były jasne: nabywać ziemię w wielkich obszarach, a sprzedawać małemi parcelami. Szlachcic nie chciał sam parcelować swojej roli, był za leniwy, nie znał dróg, któremi się zwabia chłopów, — bank przyjmował chętnie na siebie trud pośrednictwa, za który kazał płacić i szlachcicowi i chłopu; ktoś znalazł się nad przepaścią ruiny, bez kredytu, bez środków ratunku, — bank parcelacyjny ratował go kilkoma tysiącami zaliczki, brał folwark we własną administracyę, oczywiście na rachunek niedołęgi, i nieraz puszczał biedaka z kwitkiem, ale patryotycznie napisanym. Inaczej być nie mogło. Było wielkie poszukiwanie ziemi, a nieraz wielka chęć wyzbycia się ziemi, musieli przecież znaleść się ludzie, którzy taką sytuacyę wyzyskać potrafili.

Publiczna kontrola takich banków prawie nie istniała. Tu i ówdzie odzywały się sporadyczne głosy, potępiające wprost działalność podobnych instytucyj, bogacących się wyzyskiem chłopa, najczęściej obu stron, tem bardziej, że poza wyzyskiem jawnym kryła się nieraz zbrodnia przeciw narodowi, przykryta płaszczykiem bezstronności. Sprawa poczęła się dopiero wyjaśniać, gdy takie banczki pretendowały do tytułu instytucyi użyteczności publicznej i upominały się o kredyt z Banku krajowego. Pokazało się również, że one funkcyonują prawie bez kapitału własnego, że oparte są wprost na lekkomyślności jednej strony, pragnącej pozbyć się ziemi, i drugiej, pragnącej nabyć ją. Były wypadki kiedy chłopom sprzedawano dwa razy drożej ziemię, niż kupowano.

I oto nagle prawie kwestya stanęła w ten sposób, że zamiast dopomagać włościanom do nabycia ziemi, wytworzyła się spekulacya na kieszeni najbardziej potrzebujących. Społeczeństwo, zamiast wspierać ruch agrarno-ekonomiczny niezmiernie doniosły dla naszej przyszłości, wspiera spekulacyę; zamiast ująć ten ruch w planowy system, ono pozwala mu zamykać się w prywatnych kasach bez pożytku publicznego — a właściwie z wielką szkodą publiczną.

Z takiej sytuacyi wyjść trzeba, kapitał znaleźć trzeba, ruch parcelacyjny wyrwać z rąk spekulantów trzeba, bo jeszcze kilka — kilkanaście lat, a załamiemy ręce nad tem co się stało. I będzie już za późno. Ziemia łatwo przechodzi w ręce nie zawsze czyste i pożyteczne, ale trudniej daleko, a często niepodobieństwem się staje wyrwanie jej z powrotem. Strata wówczas staje się stratą narodową.

Siostrzeniec Kościuszki.

Z trzech synów Anny z Kościuszków Estkowej najmłodszy, Sykstus, daleko od rodzinnego odbił się gniazda.

Bo i innej był obywatelskiej i wojennej ambicyi niźli dziad Andrzej, porucznik wojsk koronnych, co pewnie większej nie przedsiębrał wyprawy nad tę do ziemi mielnickiej, by syna do dziedzicznych wprowadzić Romaszek[1]), i niźli ojciec Piotr, cichy stolnik smoleński, co w Dołholisce sapieżyńskiej pilnie doglądał dzierżawy.

I czasy inne już były.

Rodził się wśród zawieruchy pierwszego rozbioru. Gdy zaś w młodzieńcze dorastał lata, już w Polsce dojrzewały nowe pojęcia i ludzie nowi w zawód wchodzili publiczny. A właśnie w tym zakątku, na pograniczu Litwy i Korony, zaledwie o mil kilka od dołholiskiego dworu, gospodarzył w te lata najznakomitszy wyobraziciel tych nowych czasów, Tadeusz Kościuszko[2]).

Ani wątpić o pewnym wpływie, jaki na szlachtę kobryńską, brzeską i nowogródzką wywierać musiał „generał wojsk amerykańskich", wrócony Siechnowicom z dalekich podróży, skąd przywoził nie tylko wiedzę rzeczy nieznanych i uderzających wyobraźnią, ale i zasługę udziału w wojnie, która tak wielkie miała znaczenie w dziejach świata. Wpływ ten w Dołholisce gruntował się nadto na żywem wówczas przywiązaniu Tadeusza Kościuszki do siostry Anny, a następnie na poczuciu obowiązku wdzięczności wobec jej dzieci za wiele doznanego dobra. Obowiązek zarysował się wyraźnie zwłaszcza po śmierci Piotra Estki w r. 1787, a stał się łatwiejszym do spełnienia, gdy u schyłku r. 1789 Kościuszko otrzymał szarżę jeneralską w armii tworzonej przez Sejm Wielki. Starał się pomieścić w piątym pułku Straży przedniej wojsk koronnych[3]), jednego ze siostrzeńców, najstarszego Stanisława Teodora Ludwika Marcina, albo średniego Tadeusza, który był później, w r. 1792, podporucznikiem piątego regimentu pieszego wojsk litewskich[4]), a więcej jeszcze może zajmował się wychowaniem najmłodszego i zapewne udzielał mu wskazówek w nauce rysunków, matematyki, języków, bo Sykstus Estko w r. 1791 przyjęty został jako kadet do korpusu inżynieryi. Rychło jednak musiała ustać ta opieka Kościuszki; pochłonęły go wielkie sprawy krajowe.

Już o własnych siłach szli przez życie młodzi Estkowie, a Sykstus, chociaż był dopiero wyrostkiem, szybko dojrzał w ogniu tragicznych zdarzeń. Odbył dwie ostatnie kampanie Rzeczypospolitej, potem czas jakiś pozostał jeszcze w Polsce, zapewne w domu matki, ale wkrótce zbiegł w legiony. W stanie swej służby[5]) zapisał później, że 29. kwietnia 1798 był przyjęty do legionu w stopniu podporucznika a 22. marca 1801 był mianowany porucznikiem, że odebrał postrzał w Kalabryi, że bił się w wojnach włoskich roku szóstego i siódmego kalendarza republikańskiego. W wykazie imiennym[6]) oficerów pierwszego legionu,

---

[1]) Boniecki: Herbarz V.
[2]) Korzon: „Kościuszko" (rozdział V: Sielanka siechnowicka, 1785—9).
[3]) Korzon str. 203.
[4]) Manuskrypt biblioteki Ossolińskich 1812.
[5]) Ms. Akademii 681.
[6]) Arch. de la Guerre.

sporządzonym w Marsylii 4. września 1800 roku, jest wymieniony wśród poruczników drugiego batalionu piechoty Estko jako jeniec wojenny. Był to Sykstus pod nieobecność do wyższego zaliczony stopnia, jak tamże wspomniany w IV. batalionie kapitan Estko był niewątpliwie najstarszym jego bratem, który później w kraju miał tytuł majora byłych wojsk polskich. Na lata 1798—9 przypada kampania rzymska i wojna z królestwem Neapolu, upadek Mantuy i krwawe walki z Suwarowem. W wojnie r. 1800 udział legii polskiej na ziemi włoskiej był późny, a przez to mniej znaczny; dla Sykstusa Estki okres ten wypełnia 18 miesięczna kaźń austryackiego więzienia. — Z chwilą zawarcia pokoju legie tracą nadzieję rychłej przemiany w kadry armii polskiej, reorganizacya odbiera im dotychczasowy, zwłaszcza w stosunku do Austryi, rewolucyjny charakter i zmienia je w regularne półbrygady, posłuszne narzędzia polityki I konsula. Wtedy Stanisław Estko wrócił do Polski, ożenił się i osiadł w Niedzieliskach, w powiecie zamojskim. Sykstus pozostał w legii. — Mógł mieć po temu słuszne powody natury ogólnej. Legia w składzie swym nie przestała być polską, jak polityka francuska mimo zmiany form w swej istocie była nadal rewolucyjną, a układ stosunków europejskich nie miał cech trwałości. Oczywiście jednak główną rolę odgrywały względy osobiste. Zbyt młodym był jeszcze Sykstus Estko, aby ulec tęsknocie za krajem i rzucić rozkoszne Włochy i stopień w pierwszej armii świata. A właśnie skończyła się bieda, wiernie towarzysząca legiom pod narodowym znakiem, i otwierało się obszerne pole wojskowej zasługi. Jeszcze oglądał się na pomoc z domu [1]), ale listy wlokły się latami i w pilnej potrzebie zwracał się raczej do Kościuszki do Francyi. Wkrótce jednak nowe wojny, w r. 1805, 1806 i 1807, wyniosły go na szefa 3-go batalionu [2]) Legii reorganizującej się na Śląsku pod nazwą Nadwiślańskiej. — Legia należała do wojsk cudzoziemskich pozaliniowych, przyjęła więc wszystkie urządzenia francuskie, miała sztandar trójkolorowy, była na żołdzie Francyi i od paryskiego ministeryum wojny odbierała rozkazy [3]). W wojnach na półwyspie iberyjskim widziała jednak zawsze obok siebie wojska posiłkowe polskie, w dywizyi generała Valence, w narodowych mundurach i pod sztandarem z orłem białym. W tem zaś koleżeństwie broni był oczywisty, bijący w oczy dowód, jak za wpływem Francyi i Napoleona przebudowa Europy dokonuje się zgodnie z interesem dźwigającej się Polski. Nikt też z Polaków noszących mundur francuski Legii Nadwiślańskiej nie miał wątpliwości, że w tej służbie obcej pośrednio dla własnej pracuje ojczyzny. Inna rzecz, że w skutku długoletnich wojen po za granicami kraju duch żołnierski zyskiwał przewagę nad narodowym, że ten obowiązek był blizki i wiecznie oczom przytomny,

[1]) List do Stanisława Estki z Bari z 30. kwietnia 1805 o 120 czerw. zł. (ms. A.)

[2]) 15. lipca; dekret zatwierdzający jest z 20. czerwca 1808.

[3]) Balagny: Campagne de l'empereur Napoléon en Espagne. 1808-1809 (Paris — Nancy 1902—3) I. 38—9.

a tamten daleki i jakby mgłą przysłonięty. Robiło to samo życie i Sykstus Estko stawał się obcy i mieszkańcom niedzieliskiego dworu i Kościuszce. Ani mu było myśleć o tych odległych sentymentach, gdy w armii Aragonii miał komendę nad dwoma tysiącami ludzi, mężnych lecz trudnych do ujęcia w karby. — Dekretem datowanym w Bajonnie 12. lipca 1808 r. posunął go cesarz na stopień pułkownika, w miejsce Swiderskiego, za udział w pierwszem oblężeniu Saragossy. Uczestniczył w bitwach pod Maria i Belchite, tudzież w oblężeniu Tortozy. Członkiem legii honorowej mianowany 29. grudnia 1809, urzędnikiem tegoż orderu 2. marca 1811. Zyskał też order Księstwa Warszawskiego. W połowie lutego 1812 roku przeszedł do północnej armii hiszpańskiej, aby objąć komendę 4-go pułku Legii Nadwiślańskiej w Daroca [1]). — Okres tych walk hiszpańskich miał w życiu jego innym jeszcze zaznaczyć się śladem; z tych kwater wyprowadził żonę. Wziął ją z Caspe, miasta na prawym brzegu dolnego Ebru, z domu szlacheckiego Joachima La Figuera. Na imię miała Wiktorya, jakby ku wspomnieniu długiej wojny. I było coś z szału zwycięstwa w jej chęci pójścia na północ daleką, w kraj obcy i między ludzi obcych, i w jego wierze w możność zamknięcia żołnierskiego życia bez jutra. Z Saragossy, w sierpniu 1811 roku, odniósł się do ministeryum wojny o upoważnienie do tego małżeństwa, stosując się do prawa wojskowego [2]), i uzyskał poparcie tej prośby u komendanta kierującego tą armią, Sucheta. Później, w r. 1812, z Burgos pisał także do Kościuszki [3]), przedstawił mu stan swojej służby, który w 14 latach 9 wykazywał kampanii, prosił o poparcie u Berthiera w staraniach o baronię albo u księcia Poniatowskiego w zabiegach o szarżę generalską. Tego poparcia prawdopodobnie nie uzyskał, bo i bardzo oddalił się Kościuszko w swych uczuciach od domu Estków i nie miał i nie chciał mieć wpływu na to, co się współcześnie w Polsce działo. Wracał więc Sykstus Estko do kraju w stopniu pułkownika a w szczycie hełmu nad jego tarczą herbową zawsze jeszcze brakło korony. Przecież gwiazda złota, którą ród Estków w herbie nosi, zdała się błyszczeć nieznanym dotąd blaskiem, gdy ten świetny oficer w tym roku wielkiej wojny zbliżał się ku ojczystym granicom, rzuconym niegdyś w rozpacznej dobie trzeciego podziału.

Z wiosną nastąpił ślub, pułk ruszył ku Polsce. Bratu Stanisławowi, który w Lublinie piastował godność konsylarza departamentu, obiecywał się na połowę września w Warszawie,

[1]) *Suchet* à S. E. le duc de *Feltre*, ministre de la guerre, Saragosse, 12. mars 1811 (3 corps): „Je viens de recevoir votre dépêche du 19 février et j'ai aussitôt transmis l'ordre au colonel d'Estko de se rendre à la nouvelle destination que vous lui assignez. Le 3 régiment qu'il commandait depuis sa formation, y perdra beaucoup, car il sera remplacé par le major Kosiński, officier faible et plus capable de suivre une comptabilité que commander un régiment de 2000 Polonais qui ont grand besoin d'être enlevés par des chefs vigoureux".

[2]) Dekret z 16. czerwca 1808.

[3]) Brulion czwartego listu, z 1. marca 1812, w ms. A. 681; na poprzednie nie miał odpowiedzi, może zresztą nie doszły.

ale piętnastego był dopiero w Poznaniu. Pozostał tam po koniec miesiąca, chociaż pragnął widzieć się z matką i żonę przedstawić rodzinie.

Jedenastego października dopiero nadciągnął czwarty pułk Legii Nadwiślańskiej do Warszawy. „Trudno wyrazić uczucia mieszkańców stolicy na widok współbraci, którzy sławę oręża polskiego zanieśli aż w dawne Maurytanów siedliska“. Tak pisała Gazeta Korrespondenta [1]). W rzeczywistości jednak nie tyle wśród rzewnych wspomnień narodowej chwały witano legionistów, co raczej z nadzieją znalezienia w nich skutecznej ochrony przed nawiedzinami wojsk moskiewskich. Watahy kozackie ukazały się nad Wisłą, zamknięto rogatki warszawskie, trwoga ogarnęła stolicę i kraj. Od Wielkiej Armii dochodziły wiadomości skąpe i (o ile przez cenzurę były użyczone publiczności) obracały się w ogólnikach [2]), że „tak wojsko francuskie jako i polskie w dobrem jest zdrowiu i na niczem mu nie zbywa“. Dlatego informowano się o zdarzeniach publicznych przez listy prywatne, które nabierają w tej epoce wielkiego znaczenia.

Złe wieści z Niedzielisk odebrał Sykstus Estko: umarł brat średni Tadeusz i osierocił czworo dzieci. Złe nawzajem komunikował: w Moskwie, dokąd miał iść z pułkiem „jest głód zupełny na wszystko“. Chciał więc w początkach listopada odwieźć żonę do brata Stanisława [3]) i polecał troskliwości rodziny ładną bratowę, tak nieobytą ze zwyczajem krajowym, „że nie jada jak przenny chlib, bo w Hiszpanii z żyta chleba nie robią“. Myślał też zawsze jeszcze o historyi herbu, któraby mu była pomocną w staraniach o baronię. Tymczasem jednak trzeba mu było małą zatrudniać się wojną z kozactwem wciąż wałęsającem się po obu brzegach Bugu. Powróciwszy z wyprawy odebrał zaległe listy brata i zaraz 28. października odpowiedział. „Organizacya regimentu zatrzyma nieco mój wyjazd z Warszawy, nie będę mógł zatem być u was przy końcu miesiąca bieżącego, tak jak sobie życzyłem, i żona moja, która dla twojej żony i Tadeuszowej ma z Paryża piękne i modne suknie dać w prezencie... Marszałek Victor w 30.000 wojska z Wielkiej Armii wszedł już na Wołyń, Moskale zatem, co tutaj stoją przed nami, będą przymuszeni cofnąć się, Austryacy zaś księcia Szwarzenberga onych już pewnie nie odeprą, bo wcale bić się nie chcą, a jego zaś armia tak zrabowała tutejszy kraj, że między Wisłą a Bugiem niema kawałka chleba, i tak dalece jest głód wielki, że ja chodząc z regimentem za kozakami nie dostałem 3 dni chleba dla mojej kolumny... Napisz mi, co u was słychać i czy można jechać do was i aby czasem nie złapali mnie kozacy koło Wieprza lub Lublina“. Jazda do Niedzielisk odwlekała się coraz więcej, suknie dla bratowych wypadało odesłać przez okazyę. Wreszcie z początkiem grudnia ustalił termin podróży na 12, zamówił konie na połowę miesiąca do Zamościa; zdaje się jednak nie jeździł wcale albo tylko na bardzo krótko, gdyż nadciągnęły tymczasem straszne szczątki Wielkiej Armii. 28. grudnia pisał do brata regestrując szczegóły klęski: „Oddałem pieniądze Zabielskiemu, któren jest zdrów, i tak dobrze wygląda, jakby zamiast końskiego mięsa jadał kapłony. O rozbiciu naszej armii cóż ci mam powiedzieć? To dzieło nadnaturalne jest nie do pojęcia. Mniejsza, że całą straciliśmy kawaleryę i harmaty, ale oprócz tego przeszło 100 tysięcy piechoty, a co najgorsza, że z 20 tysięcy gwardyi nie znalazło się tylko 1500 reszty, która stoi w kwaterze głównej w Królewcu. — 60 tysięcy starego wojska idzie z Hiszpanii, gdzie armia Wellingtona zupełnie pobitą została i podobnież nieco jak my tutaj uciekła w góry. — Czy pokój czy wojna nikt tego zgadnąć nie może, bo to zależy od całej Francyi i od tejże resursów, zdaje się jednak, że Moskale nie tkną Księstwa Warszawskiego przez względy polityczne tylko. Tutaj w Warszawie wszyscy gadają o powstaniu, jednak nikt nie wsiadł dotąd na konia i wszyscy piechotą lub sankami jeżdżą. Słowem jest cała ta machina zagadką, której ciężko odgadnąć, — aż na przyszłą wiosnę. Podług obrotów teraźniejszych rzeczy, mówiąc po militarnemu, cała nadzieja i resurs jest na Panu Franciszku [1]), zatem kiedy kto cudzej potrzebuje pomocy, łatwą jest wniosek zrobić, jak dalej pójdą interesa. Stracić pewnie nie stracim, mało jednak możem zyskać lub nic. Gadają tutaj, że Turcy wojnę wydają Moskalom, jeżeli to prawda, to Rusini.....wezmą okrutnie. Słowem nasz Pan w stolicy świata wynajdzie pewnie źródła do odpędzenia kozaków, co nas tak nastraszyli. Polecam żonę moją i mnie twojej braterskiej pamięci i przyjaźni. W przyszłym miesiącu wychodzę do Królewca z moim regimentem i uwiadomię Cię o dniu, w którym wyjdę z Warszawy“.

Po krótkim więc na ziemi polskiej postoju na nową ruszał tułaczkę. Po wojnach dziesięciu był w przededniu nowej, która owoce wszystkich tamtych w niwecz mogła obrócić. Był w pełni sił lat czterdziestu, a przecież pewnie nie bez trudu bronił się uczuciom zmęczenia i zniechęcenia. Tylko że niewiele zostało na nie czasu.

W kampanii niemieckiej r. 1813. nieliczne stare pułki zdwojoną musiały rozwinąć czynność W uznaniu jej, dekretem wydanym w Wittemberdze 11. lipca, mianował Estkę cesarz generałem brygady. W bitwie lipskiej użyty był przy dewizyi Dufour. 18. października kula działowa strzaskała mu udo. Wzięty do niewoli dogorywał.

Przy łożu jego był w ostatnich momentach, dnia 30. października, kapitan pułku czwartego legii nadwiślańskiej, Krzyżanowski. Ten też zaświadczył, że konie i rzeczy wszystkie generała poszły z armią francuską, a Estko „w tym tylko został, co ranny będąc miał na sobie“. Jakoż po śmierci jego „nic nie zostało, prócz niektórych rzeczy z ubioru, za które sprzedane trumna sprawiona została“. *A. M. S.*

---

[1]) Nr. 82 z 13. października 1812.
[2]) Gazeta Korrespondenta, Nr. 83.
[3]) List z 14. października (ms. A. 681).

[1]) Cesarzu austryackim.

Z materyałów i dokumentów chwili minionej.

Ustęp z mowy Kazimierza Grocholskiego, wypowiedzianej w Izbie posłów austr. Rady Państwa na posiedzeniu dnia 4. grudnia 1863 r.

„...Muszę z całym naciskiem tutaj podnieść że mało jest w Austryi ludzi, którzyby przymierze z Rosyą uważali za odpowiadające ich przekonaniom i uczuciom. Wyraziłem się zbyt łagodnie i nie widzę powodu dla któregobym nie miał z całą szczerością powiedzieć prawdy. Galicyi nie chcę dotykać wcale, ale spytajcie się armii cesarskiej: czy wojna z Rosyą nie byłaby dla niej popularną? Spytajcie Węgrów! Tak moi Panowie! Na polu walki z Rosyą utrwalonąby została jedność Austryi wśród radości i sławy — i nie atramentem zostałaby wtedy napisaną“.

Ustęp z mowy Kazimierza Grocholskiego, wypowiedzianej w Izbie posłów austr. Rady Państwa dnia 4. listopada 1878 r.

„Nie na bałkańskim półwyspie — moi Panowie — będzie mogła być rozstrzygniętą sprawa wschodnia — w rozumieniu równowagi europejskiej i przy poważnem uwzględnieniu uczestniczących w niej interesów austryackiej monarchii, gdyż nie na bałkańskim półwyspie należy szukać achillesowej pięty Rosyi. Achillesową piętą Rosyi — jest sprawa polska. Tylko równoczesne podniesienie tej sprawy może umożliwić rozwiązanie kwestyi wschodniej w duchu dla Austryi pożądanym, gdyż tylko tą drogą może być złamaną przewaga Rosyi i osiągnięty pokój z taką tęsknotą pożądany“.

Ustęp z mowy posła Zygmunta Sawczyńskiego, wypowiedziany w austr. Izbie posłów Rady Państwa na posiedzeniu dnia 22. stycznia 1870 r.

„Jakkolwiek Galicya pod względem kultury pozostaje w tyle, to jednak są tam ludzie którzy czytali historyę i którzy wiedzą, że prędzej czy później przyjdzie w naszej części świata do wielkiej walki, którą przepowiedział wielki Korsykanin na swojem wygnaniu. On powiedział: „Kozacka czy niekozacka...“ My byliśmy ongiś ostatnim naprzód wysuniętym posterunkiem i obrońcami tej zachodnio-europejskiej kultury, a byliście nimi także i wy moi panowie: my na północy, a wy na południu Karpat. My z jednej, a wy z drugiej strony musieliśmy zawsze odpierać wroga, burzyciela pokoju, musieliśmy przed nim bronić naszych posiadłości, a był nawet moment w historyi, gdzieśmy to czynili razem... Może jednak przyjść taka chwila w której Austrya w ścisłem znaczeniu tego słowa tę walkę będzie musiała podjąć na nowo. A my chcemy na ten czas razem z Wami stanąć pod bronią...“

Ustęp z mowy posła Seweryna Smarzewskiego, wypowiedziany w austr. Izbie posłów Rady Państwa na posiedzeniu dnia 13. kwietnia 1880 r.

„...Nazwałem Związek Trzech—cesarzy nienaturalnym a uczyniłem to jedynie i wyłącznie mając na uwadze stosunek Austryi do Rosyi. Gdyż moi Panowie, jest dla mnie rzeczą niepojętą, co może być wspólnego pomiędzy jednem państwem, które ma swoją misyę i ma świadomość tej misyi: być obroną i schronieniem dla najwyższych dóbr ludzkości, dla prawa, wolności i światła, a państwem którego podstawą jest tych właśnie ideałów zaprzeczenie, którego zasadą naczelną jest: ucisk, gwałt i ciemnota! Jest dla mnie rzeczą niepojętą, co może być wspólnego pomiędzy państwem, które stwarza spokojne i wolne miejsce dla pielęgnowania i kulturalnego rozwoju narodowych indywidualności, a państwem, które jeszcze nie wyrosło z najniższego pojęcia rasy, a nawet tem właśnie pojęciem się posługuje, aby każde wolniejsze poruszenie, każde szlachetniejsze usiłowanie zgnieść i pogrzebać pod jego ciężarem!...“

Esq.

Wiadomości polityczne.

Mowa sejmowa p. namiestnika.

P. namiestnik dr. Michał Bobrzyński rozpoczął swą mowę przy wznowieniu sesyi sejmowej d. 16. bm. w sposób następujący:

> „Wysoki Sejmie! Nie moją rzeczą oceniać, o ile zmiany, jakie zaprowadziłem w ciągu ubiegłego roku w wewnętrznem urządzeniu władz politycznych i o ile kierunek i duch, którym administracyę tę staram się natchnąć, w tym krótkim stosunkowo przeciągu czasu, wydały już rzeczywiste owoce i odczute zostały przez społeczeństwo. Mogę Wysoki Sejm zapewnić, że w wielkiej, najlepszej części podwładnego mi ciała urzędniczego znalazłem zaraz gorliwe w tym kierunku współpracownictwo a i u tych urzędników, którzy zrazu z intencyi moich niezupełnie zdawali sobie sprawę, z każdym dniem dostrzegam lepsze zrozumienie moich zamiarów. Ogół urzędników uznaje, że ścisłe trzymanie się ustaw, objektywność w załatwianiu spraw, chętna inicyatywa we wszystkiem, co ku dobru ludności zmierza, uprzejmość w obchodzeniu się także i z maluczkimi, nie tylko nie czyni żadnej ujmy stanowisku urzędnika, lecz przeciwnie dźwiga je i podnosi a wpływ jego rzeczywisty zwiększa.“

Są to słowa ciężkie i niełatwo będą one zmazane. P. namiestnik uważał bowiem za stosowne rozpocząć swą mowę od bardzo dobitnego zaznaczenia, że po śp. Andrzeju Potockim potrzeba było wielkiej zmiany „kierunku i ducha“, polegającej na tem, aby urzędnicy okazywali ludności „objektywność“ i „uprzejmość“. Zarazem podkreślił p. namiestnik, jakich to rzeczy trzeba dopiero uczyć naszych urzędników i jak ciężkie było to zadanie, gdyż tylko niektórzy „zaraz“ to zrozumieli, a w innych dopiero powoli „dostrzegać“ można „lepsze zrozumienie“. Widzi w tem p. namiestnik swoje dzieło osobiste i z tego to powodu słyszy się tu tak często: „ja“, „moje“, „moich“. W ten to sposób określony został stosunek do poprzednika i to do poprzednika takiego i tak zmarłego jak Andrzej Potocki, którego prawość, bezstronność i dobroć podziwiali urzędnicy i kraj cały i który padł na posterunku po kilkugodzinnem, jak zwykle, wysłuchiwaniu maluczkich. I taka to podana została charakterystyka dotychczasowej działalności i obecnej pojętności całego ciała urzędniczego. A właśnie to wszystko wysunięte zostało na czoło mowy namiestnika przed Sej-

mem. Otóż wielka zaiste zmiana jest w tem, że czegoś podobnego ten Sejm jeszcze nie słyszał. I trzeba, aby wiedziano, że ani Sejm, ani kraj takich rzeczy słuchać nie chce.

Z mowy Marszałka kraju.

Na szczególną uwagę w mowie, którą p. marszałek kraju Stanisław Badeni otworzył dalszy ciąg sesyi sejmowej d. 16. b. m., zasługuje następujące bardzo jasne i bardzo dobitne określenie stanowiska kraju wobec rządowych projektów uzdrowienia finansów krajowych:

„Chcę tylko wskazać na zasadnicze stanowisko, jakie kraj dotąd w tej sprawie zajmował i mam nadzieję zawsze zajmować będzie. Nie potrzebujemy dla zaspokojenia naszych potrzeb od nikogo ani pomocy, ani zasiłku, ani subwencyi. Nie chcemy aby ktokolwiek oprócz nas samych do pokrycia potrzeb naszego kraju w budżecie krajowym zawartych przyczyniał się, bo rozumiemy, że kto samorząd swego kraju wysoko ceni, kto się na jego rozwoju opierać pragnie, ten sam koszty samorządu ponosić musi, bez regresu do innych. Zarazem jednak logicznie nie możemy zgodzić się na to, aby podatek, który my w jakiejkolwiek formie płacić będziemy, był użyty na sanacyę finansów innych krajów. Żądamy, aby nam daną była możność pokrywania własnych wydatków dochodami z podatków, które jesteśmy gotowi uchwalić i które sami płacić będziemy. A gdyby z powodów kompetencyi ustawodawczej lub trudności technicznych podatki te musiały być uchwalone dla całego państwa, żądamy, abyśmy otrzymali z tego źródła nie pewną subwencyę, lecz byśmy w tem, co te podatki przynoszą, mieli udział, odpowiadający ściśle temu, co kraj nasz z tytułu tych podatków zapłaci".

Z niemniejszem uznaniem przyjąć się musi apel o solidarność, w którym p. Marszałek nie wahał się bardzo wyraźnie potępić obecnego rozpanoszenia się partyjności w kołach politycznych, kończąc słowami następującemi:

„Kto jednak solidarność tak pojmuje i domaga się jej słusznie od drugich, ten ma obowiązek nie czynić nic takiego, co może wprawdzie odpowiadać chwilowo interesom partyjnym, co wszakże wzmocnieniu i utrwaleniu idei solidarności nie służy, a tem samem krajowi szkodzi".

Zjazd hakatystów.

4 września odbywały się w Katowicach narady Naczelnego Wydziału „Towarzystwa dla kresów wschodnich", a dnia następnego demonstracye uliczne skierowane przeciw Polakom. Z uchwał zjazdu wymienić należy następujące:

O ziemi:

„Mimo dotychczasowych środków prawnych celem ochrony ziemi niemieckiej na wschodzie przeciw naporowi polskiemu, zdołali Polacy także bez budowania nowych domów mieszkalnych wielkie obszary ziemi, szczególnie przez rozparcelowanie ich między chłopów okolicznych, zapewnić dla swoich antypaństwowych celów i przez to w znacznej mierze utrudnili działalność Komisyi kolonizacyjnej. Naczelny Wydział Towarzystwa dla kresów wschodnich widzi w tem wielkie niebezpieczeństwo i żąda dlatego przedłożenia w Sejmie projektu ustawy, według której wszelka parcelacya ziemi podlegać ma kontroli i aprobacie władz państwowych".

O prasie:

„Wydział wzywa Zarząd Główny, aby poczynił kroki u kanclerza, celem bezzwłocznego wydania zarządzeń prawnych przeciw zdradzieckiej wprost propagandzie prasy polskiej, która nietylko szkodzi interesom państwa, ale także zakłóca spokój wśród ludności na kresach wschodnich".

Tem zarządzeniem skutecznem byłby zdaniem hakatystów przymus umieszczania w dziennikach obok tekstu polskiego tłómaczenia niemieckiego. Starano się też na zjeździe upewnić się, że ustawa o wywłaszczeniu rzeczywiście wejdzie w życie. Skłoniono też nowego kanclerza Bethmann-Hollwega do nadesłania następującej deklaracyi:

„Niemczyzna na kresach wschodnich tylko wówczas zwycięży w walce o utrzymanie i wzmocnienie swego stanowiska, jeżeli poczucie obowiązku narodowego, górując nad wszelkimi różnicami partyjnemi i wyznaniowemi, doprowadzi ją do jedności. Wszelkie wysiłki Towarzystwa zmierzającego do tego celu mogą liczyć, zawsze na moje poparcie".

Mniej interesu politycznego przedstawiała depesza cesarza Wilhelma, jako że już do znudzenia gadał na ten temat.

Przegląd sił mankietników.

Wylęgły w mrokach zaniedbania kulturalnego Królestwa, otoczony opieką rządu prawosławnego, poparty przez bezwyznaniową część prasy warszawskiej, ruch maryawicki trwa, rozwija się, posiada własne organy (Maryawitę i Wiadomości Maryawickie) i coraz to nowych znajduje apostołów. 8 września pod Pruszkowem odbył się zjazd wyznawców tej sekty. Około półtora tysiąca „kozłowitów" przybyło z różnych stron pociągami płatnymi z rządowych tajnych funduszów, z bliższych okolic nadciągnęły procesye. Rozwinięto cały aparat obrzędów kościoła katolickiego, szły dziewczęta w bieli, niesiono krzyże i chorągwie, zamówiono muzykę, odprawiono „sumę" i „nieszpory", zaś po drodze lżono katolików, „księży-judaszy" i „papieża- kata". Tłum był różnorodny, ale przeważali drobni rzemieślnicy i proletaryat robotniczy. Rzesze te łączy po części zabobon, ale więcej jeszcze nienawiść do kościoła katolickiego i nienawiść klasowa.

Żydzi w Królestwie.

Z powodu wrogiego zachowania się żargonowych pism żydowskich wobec uroczystości polsko-czeskich w Warszawie, wystąpił warszawski *Dzień* przeciw zrusyfikowanym żydom w Królestwie i wydobył na jaw smutny stan tej doniosłej sprawy.

Zawiązek ruchu separatystycznego stanowili t. zw. litwacy, t. j. żydzi, którzy zalali Królestwo z powodu rugów ludności żydowskiej z Rosyi. Oni to rozszerzyli w Królestwie syonizm. Oni także ugruntowali u nas rewolucyjny bund, który tak się rozpanoszył, że n. p. w r. 1905, w czasie obchodów narodowych z powodu nadania konstytucyi, bandy ban-

dytów szydziły ze sztandarów polskich z białym orłem okrzykami: „polska gęś“. Co najgorsze, to rozpowszechnienie się separatystycznej prasy żargonowej, która, razem licząc, dochodzi do 200.000 egzemplarzy dziennie pism takich jak *Hajnt*, bijący 60.000 egzemplarzy, *Tageblatt, Unser Leben, Lodzer Nachrichten*. Pisma te wyparły, rzec można, zupełnie z pośród mas żydowskich czytanie pism polskich. Same zaś szerzą przedewszystkiem nienawiść do polskości, wyśmiewają resztki żydów narodowości polskiej, organizują separatyzm. Skutki tej działalności są już dzisiaj takie, że np. kupcy żydowscy w niektórych dzielnicach ostentacyjnie zamieszczają napisy sklepowe tylko w języku rosyjskim, niemieckim i żydowskim, pomijając polski. Ustały zupełnie w synagogach Królestwa kazania polskie, tak, że dzisiaj zachowano je jedynie w synagodze na Tłomackiem w Warszawie. Dzieci żydów narodowości polskiej są już dzisiaj separatystami. Jednem słowem sprawa żydowska w Królestwie przeobraziła się w ostatnich dziesiątkach lat do gruntu.

Wystąpienie *Dnia* jest tem pożyteczniejsze że jakiekolwiek zwracanie uwagi na separatyzm żydowski spotykało się zawsze z zarzutami „antysemityzmu“ i „podburzania do pogromów“. Ze strony polskiej nie robiono prawie nic przeciw temu ruchowi. Co więcej, n. p. stronnictwo postępowo-demokratyczne nawet kultywowało separatyzm, zaprowadzając w swych instytucyach oświatowych jak „Tow. walki z analfabetyzmem“ w Warszawie lub „Tow. szerzenia oświaty“ w Łodzi żargonową naukę obok polskiej zupełnie narówni. Zdaje się, że nadszedł czas na poważne zabranie się do tej sprawy.

Nowa organizacya ruska.

Wedle komunikatu zamieszczonego w *Dile* odbyła się dn. 6 września w sali ,.Ruskiej Besidy“ we Lwowie narada wspólna wszystkich posłów rusko-ukraińskich zarówno parlamentarnych jak i sejmowych, nadto członków Izby Panów (jest ich dwóch), oraz wirylistów sejmowych (trzech biskupów). Wynikiem tej narady jest utworzenie w najbliższej przyszłości „Ogólnej reprezentacyi parlamentarnej Rusinów austryackich“, której regulamin już przyjęto. Będzie ona odbywała peryodyczne narady. Już dnia 6. września „omawiano teraźniejszą zawikłaną sytuacyę polityczną w kraju i państwie, oraz stanowisko, jakie mają zająć Rusini w parlamencie i sejmie galicyjskim“.

Nowa ta organizacya, która ma urzeczywistniać ruskie zamysły polityczne, jest jednym więcej dowodem planowej akcyi ze strony ruskiej, której brak po stronie polskiej przedstawiamy na innem miejscu niniejszego numeru.

Zamknięcie Tow. wpisów szkolnych.

Dnia 2. września urząd gubernialny warszawski zamknął Towarzystwo wpisów szkolnych. Towarzystwo to liczyło około 200-ście kół i miało na celu wspomaganie ubogiej młodzieży szkolnej. Gubernator zarzucił Towarzystwu, że wspiera nie tylko młodzież, lecz i szkoły prywatne, a to na podstawie odezwy zamieszczonej w „*Gazecie Radomskiej*, w której powiedziano, że „połowa zebranych funduszów będzie rozdawana między koła przy szkołach początkowych, reszta zaś będzie obracana na szkoły średnie i na inne cele Towarzystwa“. Rząd pochwycił wyrażenie „na szkoły średnie“ i na tej podstawie zamknął Towarzystwo, którego celem było wspomaganie ubogiej młodzieży a nie szkół. Tymczasem nawet z inkryminowanego ustępu łatwo się domyślić, że chodzi tam o rozdział funduszów na młodzież ubogą szkół początkowych i na młodzież ubogą szkół średnich, nie zaś o rozdział ich na wsparcia dla młodzieży i na wsparcia dla szkół. Komitet Towarzystwa ogłosił nazajutrz po zamknięciu komunikat, w którym stwierdza, że „istotnie Towarzystwo przez cały czas swego istnienia żadnej szkole ani grosza nie wypłaciło, co łatwo według ksiąg Towarzystwa da się udowodnić“, a zarazem zapowiada, że wniesie skargę kasacyjną do I-go departamentu senatu.

Nowy ten gwałt daje miarę bezmyślności i brutalności władz rosyjskich, którym takie marne podstawy, bez poważnego zbadania sprawy, wystarczają do najcięższych zarządzeń i to gdy chodzi o instytucyę dobroczynności.

Nic dziwnego, że w niektórych przynajmniej kołach rosyjskich potępiono ten nowy akt barbarzyństwa. Prof. Pogodin zamieścił w *Riecz'y* artykuł p. t. „Walka z oświatą“, w którym wykazuje, że po zamknięciu Macierzy szkolnej i po wielu zarządzeniach represyjnych względem szkół prywatnych polskich, jest to nowy objaw stałego systemu, dążącego do zupełnego odebrania szkolnictwu polskiemu praw nabytych w r. 1905. „Podczas gdy na zgniłym zachodzie — mówi z ironią prof. Pogodin — subsydyowanie szkół przez społeczeństwo uważa się za objaw rozwoju cnót obywatelskich, u nas te buntownicze zakusy spotykają się z należytym odporem“.

Książki, broszury, wydawnictwa.

Polska w oczach Francuzów[1]).

Z głosów prasy zagranicznej o Polsce ten wyróżnia się z wielu względów. Nie jest to wzmianka przygodna ani artykuł wywołany zmienną potrzebą chwili. Jest to studyum dość obszerne (85 str.), którego twórcy daleką do Polski odbyli drogę, a później z książek i od ludzi skrzętnie zbierali wiadomości o naszym kraju. W tej drodze dalekiej i w tej pracy żmudnej towarzyszyła im stale szczera dla sprawy naszej życzliwość.

Między Krakowem a Lwowem, Warszawą i Poznaniem widzą tylko jednolitą płaszczyznę, przesyconą barwą białą, pełną zadumy. Jedności geograficznej zdaje się odpowiadać jedność moralna: wymiana ludzi między zaborami dokonuje się niezmiernie łatwo, jakkolwiek w każdej prowincyi uderza typ odmienny, jakkolwiek wielką jest różnica zewnętrzna między milczącym Poznańczykiem, błyszczącym, wymownym Warszawianinem a niefrasobliwym, bezpiecznym mieszkańcem Galicyi. Charakter narodowy pozostał tensam, tylko przystosował

[1]) Correspondant z 10. i 25. lipca 1909; Marius — Ary Leblond: Les trois Polognes.

się do form, obcych narzuconych mu przez życie, do królującego w Warszawie despotyzmu rosyjskiego i do rządzącej w Poznaniu policyi pruskiej. W Królestwie występuje wszędzie na jaw anarchia, zupełna samowola w postępowaniu władz. W Wielkopolsce „policyant nie idzie z szablą obnażoną ale z kodeksem w ręku“. „Nic bardziej nie doprowadza do rozpaczy Polaków, z natury żywych, wesołych, niefrasobliwych, skłonnych do porywów szlachetnych, jak ten dozór ustawiczny, milczący nieubłagany, arogancki ze strony Prusaków“. Dlatego Polak, poddany pruski, mimo swych praw konstytucyjnych, chętnie przechodzi za kordon rosyjski, jeśli nie zatrzymują go w Wielkopolsce obowiązki narodowe lub względy materyalne; tam narażony jest na wielkie niebezpieczeństwa, ale nie odczuwa prześladowania w najdrobniejszych sprawach życia codziennego. — U cudzoziemców te straże polskie nad Wartą, bez broni w obliczu ciężkich i zbrojnych zastępów niemieckich, wywołują głęboki podziw, ale o ileż łatwiej im porozumieć się w Warszawie. Chodzą więc godzinami po ulicach stolicy i słuchają opowiadań z ostatniej doby rewolucyjnej. Cytują im długą litanię bolesnych zdarzeń, pokazują miejsca niedawno zlane krwią, domy ze śladami kul. Te materyały do historyi represyi moskiewskich w Królestwie są główną treścią artykułów pp. Leblondów. Ze względu zaś na pismo, dla którego były od początku przeznaczone, szczególną wagę położono na rozpoznanie stosunków religijnych.

Związanie uczuć narodowych z religijnemi miało szczególnie doniosłe znaczenie w państwie kresowem, postępy katolickiej Polski wobec prawosławnej Moskwy były zwycięstwem niewątpliwie wyższej kultury moralnej. Zasady tolerancyi nie przestały zresztą panować na ziemiach polskich. W dobie ostatniej wielkie manifestacye narodowe w Królestwie miały charakter zarazem religijny, a przecież równocześnie zapewniano żydom opiekę, gdy przejawiły się usiłowania ze strony Rosyan wywołania pogromów. Na Litwie, w prowincyach zabranych długie prześladowania wprowadziły do szeregów obrońców Kościoła nawet ludzi dla wiary obojętnych. Literatura piękna otoczyła aureolą męczeńskie głowy unitów. Tak jednoczyła się cała społeczność polska, skądinąd rozdarta walką stronniczą, przeciwieństwami społecznemi, i organizacya kościelna mogła przetrwać najgorsze czasy, kiedy rząd nie zadawalniał się prześladowaniem wiernych, ale popierał herezye i zepsucie obyczajowe w samym Kościele, obniżał poziom wykształcenia duchownych i pozostawiał nieobsadzone stolice biskupie. — Niemniej ściśle w zaborze pruskim walka narodowościowa splata się z wyznaniową. To większość protestancka Niemców z całą zaciekłością sekciarską uderza na katolicką Wielkopolskę i Śląsk. Tu zaczął się *kulturkampf*, w Poznaniu zamknięto pierwsze klasztory, arcybiskupa gnieźnieńskiego uwięziono pierwszego z pośród dostojników kościelnych. Na tle religijnem dokonały się prześladowania szkolne. Z drugiej zaś strony głównie księża wielkopolscy stworzyli organizacye ekonomiczne, pozwalające wieśniakom polskim skutecznie opierać się naporowi całej potęgi materyalnej Niemiec. — W Galicyi wschodniej uświadomienie narodowe, w Galicyi zachodniej postęp społeczny wśród ludu, łączą się z udziałem w tej pracy duchowieństwa. — To też w całokształcie dziejów Polski zdaje się występować jasno zasada o podniesieniu patryotyzmu na stopień doskonalszy przez katolicyzm.

Pamiętniki generała Prądzyńskiego — opracował Bronisław Gembarzewski; tom wstępny p. t. „Geneza powstania listopadowego“ napisał Jerzy Moszyński (Kraków, z drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1909).

Ostawmy w pokoju i historyozofią szlachcica-dziwaka i pracę edytorską malarza-batajlisty. Niech nam nie przeszkadzają wsłuchać się w opowiadanie kwatermistrza generalnego wojska polskiego 1831 r.

Mówi głosem zmęczonym. Często po prostu czyta jakiś ustęp z dzieła Mochnackiego albo tłómaczy z książki Smitta. W tym ostatnim razie wyraża zresztą zdanie własne, bo autor niemiecki oparł się w swej pracy na memoryale, który napisał Prądzyński o wojnie r. 1831 bezpośrednio po jej ukończeniu. Niekiedy zapomina się i powtarza to samo rozumowanie, albo po raz drugi i trzeci tą samą czyni bolesną uwagę. Ale ten chory i złamany już człowiek, który z pod opuszczonych powiek patrzy na nas wzrokiem przygasłym[1]) i zdaje się zaciskać nerwowo spalone wargi, przecież w ciągu swej opowieści raz po raz się ożywia i staje przed nami w dawnej świetnej postaci najpierwszego z oficerów polskiego sztabu.

Zrazu mówi o spiskach Łukasińskiego. Opowiada jakby głosem przyciszonym, ale z całą masą szczegółów mało lub zgoła nieznanych. Potem jeszcze bardziej stłumionym głosem mówi o swem szczęściu domowem w Augustowie. Potem słyszymy go już z za krat i okiennic karmelickiego więzienia. Oto już skończył się sąd sejmowy, a on wciąż pozostaje odcięty od świata. Z początku tylko pies Buton komunikuje go z Warszawą, potem ma książki, listy, ogląda przez szczelinę okna mieszkanie żony, ale nie widzi końca niewoli. Wreszcie po trzech latach nadeszła godzina oswobodzenia. Więzienie zdaje się jeszcze ciaśniejszem, każdy moment zwłoki staje się już nie do zniesienia. Gdy mija godzina otwarcia więzienia, ogarnia go szał, odrywa kawał żelaza od dzwonka, uderza w tłum strażników, zbiega na dół, gdzie stała broń, chwyta karabin, grozi żołnierzom, zbliża się ku bramie. Odsuwają się wreszcie rygle. Owiewa go powietrze wolności, obejmują ręce żony. Biegnie do domu, dziecko jednak ucieka przed nim z krzykiem jak przed obcym. Przecież zwolna wraca do normalnych warunków życia, pełni służbę podpułkownikowską, jest przytomny koronacyi Mikołaja I. — Niespodzianie jak grom uderza wiadomość o nocy 29. listopada, gdy był przy robotach wodnych w augustowskiem. Odtąd do końca wojny jest wciąż na pierwszym planie. I w opowiadaniu głos jego staje się silniejszy, argumentacya żywsza, prowadzi nas z sobą na pola wszystkich wielkich bitew, ustawia w miejscu, skąd widzimy najlepiej ich

---

*) Portrety w t. I i II.

przebieg, każe nam iść z Dwernickim na Wołyń i z Chłapowskim i Giełgudem na Litwę, tłómaczy, jak w każdym momencie można i należało działać i jak wszystko działo się na opak albo połowicznie, i rozsnuwa przed nami tę olbrzymią tragedyę ogólno-narodową i jego osobistą. Bo inni zwycięstwo uważali za niepodobne i zadawalniali się złudą układów albo biernem przeciąganiem wojny, albo zajmowali stanowiska podrzędne i spełniali obowiązki prostsze, nie mogąc wpływać na sam kierunek kampanii, albo w ogóle nie mieli szerszego na rzeczy poglądu. Jego zaś jasna głowa w lot obejmowała sytuacyę, obmyślała dziesiątki sposobów urzeczywistnienia planów, widziała możność zwycięstwa. Widziała ją nawet po „krwawej burdzie“ ostrołęckiej, w której zniszczały pułki z pod Grochowa. Równocześnie zaś odczuwał niezdolność narzucenia swoich zapatrywań komendzie naczelnej, gdy zaś oddawać mu będą dowództwo, już armia będzie w rozprzężeniu, i po niewielu godzinach złoży obowiązki, którym podołać zbraknie mu sił. — Opowiadanie urywa się na przygotowaniach do obrony Warszawy, ale i bez tego finału jest to najważniejsza a zarazem najsmutniejsza książka o r. 1831. — Pamiętniki zajmują trzy duże tomy (1777 stron tekstu, nie licząc indeksów i t. p. dodatków); w tomie IV wydrukowano 198 dokumentów a z 1113 podano streszczenie; załączono także sześć planów. Strona typograficzna jest wzorowa.

Kwestya polska wobec zbliżającego się konfliktu Austryi z Rosyą — napisał Polonus Viator (Kraków, 1909) str. 53.

„Dla narodów podbitych wojna bywa niekiedy jedyną sposobnością uzyskania czyto niepodległości narodowej, czy też znośniejszych warunków bytu“. A dalej, zdaniem autora, „po raz pierwszy od chwili utraty bytu niepodległego możemy się spodziewać, iż pomiędzy państwami, rozstrzygającemi dotąd o naszych losach, zacznie się walka eksterminacyjna, z której jedno wyjdzie zwycięzcą, wyczerpanym dokonanymi wysiłkami, drugie — na długie lata powstrzymane zostanie w swym rozwoju. Od nas samych zależeć będzie, czy wojna ta doprowadzi jedynie do największego rozlewu krwi polskiej, jakiego dzieje były świadkiem, czy też stanie się ona zaraniem lepszej przyszłości“. Konflikt serbsko-austryacki jest zapowiedzią starcia Austro-Węgier z Rosyą. Projekt sprzedaży Królestwa jest także nader znamiennym symptomem. Jest to chęć przygotowania społeczeństwa rosyjskiego do nieuchronnych strat na terytoryum polskiem. Równoczesna agitacya panslawistyczna przygotowuje podstawy ideowe do tej wojny, występuje zaś albo w staromoskiewskiej formie uosobionej w „Towarzystwach słowiańskich“ albo w bardziej subtelnej „zjednoczenia równych z równymi“, t. j. neoslawizmu. Nastąpiło też w tym samym czasie pewne zbliżenie między Austryą a Japonią. Wszystko to rychłą wróży wojnę.

Jak się mamy w czasie tej nowej wojny zachować, o tem powinny nas pouczyć doświadczenia zdobyte podczas kampanii rosyjsko-japońskiej. Wówczas, zdaniem autora, polityka nasza nie była realną; realną była tylko walka. „O autonomię nie walczono. Nie zdawano sobie z tego sprawy, że carat nie da dobrowolnie ani niepodległości, ani autonomii, ani konstytucyi, ani nawet języka polskiego w szkołach lub urzędach. Państwo z takiemi tradycyami, z taką biurokracyą i z taką masą elementów czarnosecinnych lub biernych politycznie, jak Rosya, nie ustępuje dobrowolnie, a gdy nawet cofa się przed siłą, to zawsze z ukrytym zamiarem odzyskania przy pierwszem osłabieniu uwagi przeciwnika, utraconego terenu“. Wszak po wszystkich klęskach wojny japońskiej, mimo straszliwego kryzysu wewnętrznego wszystkie stronnictwa rosyjskie odmówiły nam przyznania autonomii, wychodząc z zasady, że nie jest to koniecznem, gdyż „w Rosyi narody, posiadające świadomość swej odrębności, stanowią drobną mniejszość ogółu“. Dlatego, zdaniem autora, należy przygotować opinię polską do stanowczgo oświadczenia się przeciwko Rosyi a za Austryą, z chwilą gdy jej wojska przejdą kordon Królestwa. Od takiej polityki mogłyby powstrzymać tylko obawy inwazyi pruskiej. Obawy te uważa za płonne ze względu na ogólną sytuacyę europejską i zbliżenie francusko-angielskie.

Jako ostateczny cel naszej polityki w razie wojny z Rosyą stawia autor dążenie, „by jak największa część zaboru rosyjskiego została oderwana“ i „uzyskała niezależność“ lub przynajmniej „jak najdalej idącą samodzielność“. Środkiem do tego celu „będzie samodzielne wystąpienie polskie przeciwko Rosyi“ w chwili wybuchu wojny. Obecnie zaś trzeba w tym kierunku uświadamiać i konsolidować opinię.

Rozumowania te opierają się na przekonaniu, że Austrya weszła na drogę energicznej polityki zewnętrznej. Dowieść tego może tylko samo życie.

Dr. Ludwik Posadzy: O posłannictwie narodów europejskich. Pomysły do filozofii dziejów Francyi, Niemiec i Polski. Nakł. autora. Inowrocław 1909. 8^0 str. 143.

Odkładając obszerniejsze omówienie powyższej książki do następnego numeru pisma naszego, ograniczamy się na razie do zaznaczenia, że książka ta, na wskróś oryginalna, daje nam poznać historyka o wyraźnej indywidualności. W pięciu rozdziałach, stanowiących każdy dla siebie pewną całość (I Brak filozofii dziejów, II. Francya, III. Niemcy, IV. Polska, V. Azya i Europa) stara się autor wytyczyć pewne linie, po których ludy europejskie dążą do spełnienia swojego przeznaczenia dziejowego, a pomiędzy nimi i nasz naród. Książka ta, będąca cennym przyczynkiem do filozofii dziejów a zarazem obrazem bardzo wybitnej indywidualności autora, zasługuje na bliższe poznanie. *S. W.*

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski.**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Murarska l. 11.

Drukarnia Ludowa we Lwowie, plac Bernardyński 7.